

Jacek Mroczek – „Kamienie milowe zniewolenia”

TeatrVaria, 28 marca 2026

Link: <https://teatrvaria.blogspot.com/2026/03/kamienie-milowe-zniewolenia.html>

Ludzie wolni często lekceważą zagrożenia. Do końca mierzą świat własnymi miarkami. Uważają, że żadne niebezpieczeństwa nie są istotnie realne. Przecież komu mogłoby zależeć na rozbijaniu porządku opartego na fundamencie wolności? Nie wierzyliśmy w 1939 roku w nadciągające unicestwienie Polski. Nie wierzyliśmy u progu XXI wieku w wojenną burzę tuż u naszych - ponownie - granic, w obrębie których odbudowaliśmy wolność. A burza stoi u bram. Jej czarne chmury piętrzą się nad horyzontem.

Ta burza nie wzięła się z nikąd. Ona także rosła powoli, karmiona lekceważeniem i niedowierzaniem. Zrozumienie mechanizmu jej powstawania, istoty budowania dyktatur za wschodnią granicą Polski, leży u podstaw „Mojej miłości”. Spektaklu w reżyserii Macieja Gorczyńskiego, który miał właśnie premierę na scenie krakowskiego Teatru Barakah.

Rzadko z przyjemnością oglądam spektakle dotyczące bieżących spraw politycznych. Mierzi mnie odmienianie przez wszystkie przypadki zagrożeń, taktowanie lęku i ciągle udawanie Katonów w kraju desperatów. Wypieram zagrożenie. Umykam do teatru w poszukiwaniu światów równoległych. Wolnych. I paradoksalnie, gdy na scenie Barakah spotkało się to co mnie mierzi z wolnością, w której się chowam - efekt przeszedł moje oczekiwania. Może po prostu potrzebowałem głosu mądrze rzeczowego, a nie emocjonalnego bełkotu? Bo „Moja miłość” mówi spokojnie. Ale to, co mówi jest wstrząsające.

Na scenie dwóch performerów z Białorusi. Poznajemy ich pod pseudonimami. Czy je rozszyfrowywać? Uczciwie mówiąc ten element uważam za jedyny słaby punkt widowiska. To postaci znane. Nie wierzę aby służby jakiegokolwiek kraju nie były w stanie w ciągu kilkunastu sekund dowiedzieć się kim są Jerzy Duszewski i Adam Krepski. Skoro jednak im zależy - niech pozostaną Jerzym i Adamem.

Adam to socjolog. Dokumentuje los społeczności LGBT na terenie poradzieckim. Białoruś i Rosja. Tu zmieniło się relatywnie najmniej. Tu trwa ZSRR w całej okazałości. I tu jest najwięcej pola do obserwacji. Jerzy to performer, reżyser i aktor. Spotykając się na scenie Teatru Barakah ustalają role. Adam będzie narratorem i postaciami kobiecymi w ich opowieści. Jerzemu przypada osoba dyktatora. Skoro obaj są Białorusinami, nie muszę chyba wskazywać którego dyktatora zobaczymy?

I tu zaczyna się świetnie pomyślane, dynamiczne, nieco ponad godzinę trwające widowisko. Rusza jak wystrzelona z wyrzutni rakiet. Najpierw mozolnie kumuluje siłę, aby pokonać próg grawitacji. Potem błyskawicznie nabiera tempa. Mknie aby uderzyć precyzyjnie w cel. „Moja miłość” tak właśnie jest skonstruowana. Wprowadza nas w jego poetykę kilka złotych myśli Aleksandra Łukaszenki. Ten zawsze budzący moje przerażenie styl. Ciepły głos, proste zdania. Oto wódz-ojciec. Działa z troską o swoich poddanych. Jeśli im czegoś zakazuje, to z uwagi na ich dobro. Maluczkich, bezbronnych, którzy sami mogliby podjąć złe decyzje a potem zwyczajnie ich żałować. LGBT? Czyli lesbijki i homoseksualisci. Wódz zamyśla się i po chwili daje odpowiedzi. Kobiety są zawsze w jakiejś mierze lesbijkami. Łagodność wodza budzi mdłe poczucie poddaństwa. Ale mężczyźni - tu wódz tężeje i wyrzuca z siebie słowa jak kamienie. Mężczyzna ma być mężczyzną. Niech sobie te ruchy powstają w Niemczech, w Polsce. Nie u nas. Nie na Białorusi.

Całość oglądamy na ekranie. Twarz dyktatora przykryta animowaną maską. Krwawym strzępem głowy, w której otwiera się żarłoczna, uzębiona paszcza. Nagle obraz się zmienia. Widzimy zwielokrotnione wizerunki dyktatora. Dźwięk zamyka się w powtarzaniu jednego słowa. Sylaby. Wreszcie głoski. Staje się jedynie trzaskiem zębów o zęby. Trzaskiem rytmicznym, szybkim. Jak strzały karabinu maszynowego.

A potem jest dramatyczny apel do dyktatora. Pierwszy kamień milowy spektaklu. Wódz nie pozwoli mężczyznom na feminizację a kobietom na maskulinizację. Lud ma klaskać i w takt oklasków płodzić i rodzić. Żołnierzy i niewolników. Wszelkie odstępstwa od tradycyjnych ról kobiety i mężczyzny są w kraju wodza tępione. Jak wadliwe tryby w wielkiej maszynie. Gdy nie pracują należycie - należy je wymienić. Zniknąć. Gdzie trafiają? Znikają. Po prostu.

Zmienia się dominanta. Narrator odchodzi w kąt a widowisko opanowuje dyktator. Jerzy Duszewski jest przerażająco prawdziwy. Nie skupia się na małpowaniu Łukaszenki. Podpatrywaniu i parodiowaniu gestów, czy mimiki białoruskiego wodza.

On wydobywa istotę osobowości dyktatora. Właśnie ten przerażający konglomerat pozornej ojcowskiej łagodności w formie, wraz ze straszliwą siłą przekazywanej informacji. Po chwili zmienia się. Staje przed nami demon zła. Połykający mikrofon, symbol nachalnie głośnej propagandy, potwór. Oto dyktator w czystej postaci. Nieskażone eufemizmami, żartem, próbą parodii, wydestylowane ludzkie zło. Drugi kamień milowy „Mojej miłości” toczy się po scenie.

Ponownie Adam. Zaczyna opowieść o początkach. Gdy świat był jeszcze zachłyśnięty wolnością i nie wierzył że chmurka ledwie nad horyzontem widoczna może zasłonić całe niebo czarnym, gęstym obłokiem. Początek był niewinny. Ot, zabawny, ciepły pan. Entuzjasta, który stanął na czele dopiero co ulepionego wolnego kraju. Przecież on nie utrzyma się u władzy dłużej niż jedną kadencję, mówili ci co zapatrzeni w wolność woleli obserwować plamy na słońcu zamiast coraz większych czarnych smug na swoim życiu. Rósł w siłę ten zabawny, ciepły pan. Powoli zapatrzeni w wolność zaczęli znikać. Pojedynczo, po kilku. A wolność znikła razem z nimi. I już nikt nie widział zabawnego, ciepłego pana. Na trybunie stał on i nie on. Wódz - dyktator. Z roku na rok silniejszy. Groteskowy a zarazem piekielnie niebezpieczny. Fascynujący skutecznością. Gdy pewnego dnia obudzili się ci, którzy nie znikli i postanowili wyjść na ulice - wódz zmiażdżył ich protesty tak, jakby były zrobione z czekolady pozostawionej na rozgrzanym od słońca stole. Następny - trzeci kamień milowy krakowskiego spektaklu jest twardy i zimny. Sypią się z niego iskry ostrzegawczego strachu.

Dyktatury zazwyczaj kończą się źle dla dyktatorów. Wcześniej. Później. Historia ma w kieszeni bat sprawiedliwości. Korzysta z niego oszczędnie i opieszale. Ale korzysta. Bo kim jest dyktator? Skrętnie ukrytym pod pancerzem brutalnej niesprawiedliwości kłębowiskiem lęku. Zagubienia, słabości. Strachu, czy kolejny dzień nie odbije się hukami okrzyków niezadowolenia od ścian ufortyfikowanej rezydencji. Nasłuchiwanie, czy wystrzał słyszany z oddali to jeszcze salwa egzekucji, czy już sygnał powstania. Ten czwarty kamień milowy „Mojej miłości” jest przyszłością. Życzeniem zmęczonych życiem. Życzeniem ludzi, którym odebrano kraj, wolność, godność. Wyglądają zza słupów granicznych. Patrzą na swoją ojczyznę. Na gęstniejący nad nią cień.

Teatr Barakah przyzwyczaiał mnie do swojego fascynującego języka. Do jakości spektakli granych na mikro scenie w makro sposób. Nic się nie zmieniło. „Moja miłość” to opowieść wielka. Ważna i wstrząsająca. A opowiedziana przez trzy osoby. Bo przecież nie sposób pominąć roli Piotra Korzeniaka. Bez niego, jego instrumentów

i jego opracowania muzycznego to nie byłoby tak mocne przeżycie. No i jest przecież w jednej ze scen symbolicznym Dave'm van Ronkiem ze Stonewall, czyli gościem z 1969 roku w naszych czasach.

Trzy osoby opowiedziały ze sceny o genezie, rozwoju i rozkwicie dyktatury. Konkretnie, spokojnie, przekonująco. Dały też życzenie przyszłości. Czy się sprawdzi? To już domena świata pozateatralnego. Pozostając w wiecznie bezpiecznej kryjówce jaką stanowi widownia, powiem: Na „Moją Miłość” do krakowskiego Teatru Barakah wybrać się po prostu warto. Bardzo warto.